Rok 1937 4 lipca Nr 27

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Z wierszy Kazimiery Iłłakowiczówny.

Kołysanka krokodyla

Hotentotka mała
krokodyla miała,
kiedy nie usypiał,
tak go kołysała:

„Wszystkie grzeczne dzieci dawno śpią
w białych koszulach,
a ty śpij u rzeki Limpopo
głęboko w mułach.

Wszystkie lilie się pozamykały —
wiedzą dlaczego.
I ty zamknij oczka, ptaszku mały,
zaśnij u brzegu.

Wielkie gwiazdy świecą z nieba na cię
okiem złowróżbnym...
Co tam patrzeć na nie, mały bracie,
patrzeć na próżno!

Niech ich będzie dużo, choćby sto!
białych i złotych...
A ty śpij u rzeki Limpopo,
zapomnij o tym.

Kołysanka goryla

Kołysała gorylka gorylątko, niebożątko,
mówiła mu wszystkie bajki od początku.
Kochała je, kołysała je,
mówiła mu: Spij, bo cię lampart zje!

U tego lamparta
skóra nic nie warta,
a u mego synka
oczka jak z bursztynka.

Głodny lampart w lasach
brodzi bez śniadania,
a mój synek ananasów
ile chce dostanie.

W walce z potworami

Na sam dźwięk wyrazu „krokodyl" budzi się w człowieku uczucie grozy i wstrętu, każdy bowiem mniej więcej zdaje sobie sprawę czym jest ten potwór straszliwy. Nawet mały krokodyl widziany w ogrodach zoologicznych nie budzi uczucia sympatii, jest bowiem w nim zawsze coś, co zmusza patrzeć na niego z niechęcią. Nic więc chyba dziwnego, że w krajach, gdzie ich jest wiele, mieszkańcy tępią je bez litości.

U samego prawie ujścia największej rzeki amerykańskiej, Amazonki, znajduje się wyspa Marajo, która stanowi właśnie teren najzawziętszych polowań na te straszliwe jaszczury. Urządzają te łowy okoliczni farmerzy, czyli rolnicy i hodowcy bydła, aby zabezpieczyć się przed nieobliczalnymi szkodami, jakich przyczyną jest żarłoczność tego zwierzęcia.

Pod koniec lata, gdy wyspa, zalana dotychczas z powodu ustawicznych deszczów, zaczyna się powoli ukazywać z pod wody i gdy tworzą się na niej małe jeziorka, farmerzy wyruszają na polowanie. Jest to najodpowiedniejsza pora na tępienie szkodników, gdyż krokodyle z płytkiej wody nie mogą uciekać. Okres polowań podrywa całą ludność dokoła, zwołują się po wszystkich wioskach i osadach myśliwi, przygotowując odpowiednie uzbrojenie. Stanowią je siekiery, włócznie, harpuny, niekiedy i strzelby, chociaż używa się ich bardzo rzadko i jedynie dla obrony, postrzelenie bowiem krokodyla nie stanowi dla niego poważnego niebezpieczeństwa i nie przeszkadza mu ukryć się wśród wodorostów i błota. Nawet ciężko postrzelony wyliże się najczęściej z ran i po pewnym czasie staje się tak samo groźny i szkodliwy, jak przedtem.

Najkonieczniejszym narzędziem dla myśliwego jest t. zw. lasso, podobne do

tego, jakiego używają na stepach amerykańskich do chwytania dzikich koni. Splecione jest ono z końskiego włosia. Mającyświetny wzrok tamtejsi mieszkańcy, potrafią nie tylko dostrzec krokodyla pod wodą, do czego niezdolny jest żaden Europejczyk, ale prawie zawsze go pochwycą na lasso i w ten sposób przyciągają do brzegu. Tu dopiero rzucają się wszyscy na potwora z dzidami, siekierami i zabijają go. Gdy jest już zupełnie pewne, że nie żyje, dopiero wyciąga się go na ląd.

Polują też w inny sposób, ale to tylko wtedy, gdy woda jest dość głęboka. Wyjeżdżają zatem myśliwi łodzią i upatrzywszy zdobycz pod wodą, rzucają w nią harpun, jakiego używano dawniej dla połowu wielorybów. Trafiony strasz. liwym przyrządem krokodyl już się nie może wymknąć z rąk ludzkich. Chcąc się jednak uwolnić, bije z potężną mocą ogonem, tak, że łatwo może nie tylko łódkę wywrócić, ale i strzaskać. Muszą się więc mieć wszyscy na baczności, to też niecierpliwie wyczekują chwili, kiedy potwór nareszcie się zmęczy, aby go teraz chwycić na lasso i przyciągnąć do brzegu.

Zdarza się nieraz, że setki zabitych krokodyli leżą przez długie tygodnie na słońcu, stanowiąc żer dla ptactwa. Często jednak farmerzy gotują pewne części mięsa tych zwierząt dla karmienia nim bydła i trzody. Dziwną jest natomiast rzeczą, że z okolic tamtejszych nie wysyłają w świat dla handlu nadzwyczaj cennych skór tych potworów. Byłyby może tańsze u nas torebki damskie, a nawet buciki, bo i obuwie widaje się niekiedy ze skóry krokodylej.

Wyprawa na lądolody

(Dalszy ciąg)

Hojny jest i dla owej garstki zapędzonych losem na krańce świata biednych Eskimosów, których dusze oświecone światłem prawdziwej wiary przez ofiarnych misjonarzy kłonią się z pewnością w pokorze w obliczu Bożych cudów.

Lądolód grenlandzki, o którym w ostatnich numerach „Dzwoneczka“ tyle piszemy, nie jest dopiero niedawno odkryty i badany. Tysiąc lat już blisko mija od czasu, gdy po raz pierwszy postawił na nim stopę lud niesłychanie odważny i waleczny. Byli to Wikingowie, zamieszkujący Skadynawię i stamtąd czyniący na wszystkie strony łupieskie wyprawy.

Ich okręty szybkie i zwinne uwijały się po wszystkich morzach świata, a do jakiego przybiły brzegu, wysadzały na ląd zastępy żołnierzy, którzy kraj zdobywali, zakładając swoje królestwa. Byli oni jednako nieustraszonymi wojewnikami, jak i żeglarzami, mimo że ówczesne okręty ani w porównaniu nie miały takich urządzeń i środków ratunku, jak to jest dzisiaj, kiedy technika wszystko coraz bardziej udoskonala. Nic zatem dziwnego, że żądza zdobywcza Wikingów zagnała ich też i na brzegi strasznego a nieznanego im jeszcze lądolodu czy lodolądu Grenlandii, by zatknąć na nim sztandar zwycięski.

Najmniejszego jednak pożytku nie byłoby z tego dla nauki, gdyby nie późniejsze wyprawy, przede wszystkim w wieku dziewiętnastym przedsiębrane wyprawy naukowe. Mimo to samo wnętrze tego olbrzymiego kraju lodowego o powierzchni dwu milionów km² jest jeszcze prawie nieznane, gdyż wyprawy przeszły je w nielicznych zaledwie kierunkach.

Poznaniem naukowym tego lądolodu zajmują się przede wszystkim państwa i narody północne, a więc Duńczycy, Szwedzi, Norwegowie, Anglicy, Rosjanie i Amerykanie. Zdarzali się jednak i inni, jak Niemcy, nawet nie znający zimy w swej ojczyźnie Włosi, i wreszcie Polacy, choćby tylko wspomnieć prof. Kosibę, który brał udział w ostatniej duńskiej wyprawie na Grenlandię.

Gdy dawniej tylko okrętami i łodziami można było się tam dostać, teraz z olbrzymią pomocą przychodzą samoloty, które nie tylko z powietrza ratują ludzi w razie niebezpieczeństwa, spuszczając im zapasy żywności i wszelkie środki ratunkowe, ale nawet, upatrzywszy jakieś możliwe miejsce, lądują na lodowatej powierzchni wyspy.

Każda niemal wyprawa pociągnęła za sobą ofiary; nie zraża to jednak podróżników i uczonych; raz za razem zjawiają się bohaterzy nauki, nowi śmiałkowie, którzy nawet za cenę własnego życia gotowi są wydzierać przyrodzie coraz to nowe tajemnice i wzbogacać nimi dorobek ludzkości. Zresztą w obecnych czasach każda nowa wyprawa wyrusza z nadzieją, że korzystać przecież będzie z doświadczeń poprzednich i że coraz więcej posiada sposobów do szczęśliwszego pokonywania wszelkich przeszkód i niebezpieczeństw. A jednak okrutna kraina lodów dla każdego przybysza chowa zawsze nowe, nieprzypuszczane przez niego niespodzianki.

Między innymi, wyruszyła w roku 1906 wyprawa duńska pod przewodnictwem uczonego Erichsena, aby zbadać część północno-wschodnią Grenlandii. Zabrano z sobą doświadczonych Eskimosów z psiemi zaprzęgami i urządzono przed zimą obóz, z którego czyniono mniejsze wyprawy dla poznania okolicy. Na wiosnę podzielono się na trzy grupy: dwie miały wyruszyć dalej na północ i północno-wschód, trzecia miała zostać na miejscu i tu przeprowadzać wszelkie możliwe badania. Jedna z dwóch pierwszych pod wodzą Kocha, szczęśliwie powróciła w jesieni; druga zaś pod przewodnictwem samego Erichsena z towarzyszącym mu m. in. Eskimosem Broenlundem, po wielkich cierpieniach i walkach z okrutną przyrodą, zginęła.

Dokończenie nastąpi)

ROZWIĄZANIE SZARADY Z NRU 25.

Mery, a, ka, kary — Ameryka.



Letnie upały zamęczają ludzi na wsi i w mieście. Ale kiedy dzieci wiejskie, żyjące wśród przyrody, umieją sobie radzić z upałem w sposób najprostszy, bo każdy strumyk czy stawek służy im do orzeźwiającej kąpieli, — to rozgrymaszone dzieci miast chcą wśród lata mieć zimę i u mamy, taty, czy wujcia napierają się, by im kupić lodów, oczywiście tych kolorowych i słodkich, których jednak nie wyrabia zima, tylko w porze lata cukiernik. Natomiast nie wiele wymagające dzieciaki murzyńskie zadowalają się łykiem zimnej wody, która w gorących krajach wśród suszy i skwaru stanowi dla czarnych ludów skarb prawdziwy. Na zdjęciu widzimy chłopców murzyńskich uczących się u chrześcijańskich misjonarzy, jak piją wodę z przedziwnego kształtu naczynia.

——ooOoo——

Niespodzianki wyprawy myśliwskiej

Opowiedział Marian Warta. (Ciąg dalszy)

Był to dom państwa Wormsów.

Parter miał z wielkich cegieł niepalonych, a piętro dla bezpieczeństwa podczas częstych trzęsień ziemi, składało się ze ścian z trzciny bambusowej, lekko gliną otynkowanej i pobielonej.

Z tego samego materiału zrobiony był płaski dach, właściwie tylko sufit, jako wystarczająca ochrona przed mgłą w porze zimowej, deszczu bowiem Lima prawie nie zna.

Wjechali na kwadratowe podwórze wyłożone drobnym kamieniem. Tu pośrodku fontanna opryskiwała klomb roślin zwrotnikowych. Dokoła na piętrze biegła oszklona galeria, pod którą na dole mieściła się weranda odkryta.

Znużeni długą podróżą, młodzieńcy z zadowoleniem rozgościli się w przygotowanym dla nich mieszkaniu. Odświeżeni i przebrani zjawili się wreszcie w jadalni państwa Wormsów na śniadanie, gdzie dopiero Raul przywitał się z dawno nie widzianą ciotką, poznał jej pasierbicę, osiemnastoletnią narzeczoną Wiktora i przedstawił obu paniom swego przyjaciela.

Od pierwszej chwili zapanował nastrój serdecznego ciepła, bez wymuszonej sztywności, że już przy śniadaniu miało się wrażenie, jak gdyby przy stole zebrani stanowili od dawna zwarte kółko rodzinne.

Rozmowa toczyła się swobodnie, a wśród niej, rzecz prosta, dowiadywali się Paryżanie coraz czegoś nowego o dziwach kraju, do którego tak niespodziewanie przybyli.

— Czy pan uwierzy — śmiała się, zwracając się do Karola, panna Ada — że ja dotychczas w życiu nie widziałam błyskawicy, ani nie słyszałam grzmotu, i obiecuję sobie z moim przyszłym mężem wybrać się do Europy, choćby po to tylko, żeby poznać te dziwy które u was nawet dzieciom spowszedniały.

— Jakto, czyżby te zjawiska były zupełnie nieznane w tutejszym klimacie?

— Naturalnie, my tu przecież burz nie miewamy.

— Ani słot jesiennych — dodał wuj Edward — które w tej chwili zaczęły tylu krajom Europy do znudzenia dokuczać.

— Ach, prawda — zawołała ciotka Alicja — za kilka dni listopad. Na północy w Europie jesień się zaczyna. Dobrze, żeście przyjechali właśnie na lato do Peru.

— Jakto — śmiał się Raul. — Lato? Wszystko mi się pobałamuciło, chociaż z listów cioci coś o tym wszystkim wiedziałem.

— Przecież u nas w tych dniach zaczyna się lato i potrwa do końca kwietnia, żeby w maju ustąpić miejsca zimie, trwającej po koniec października.

— A cóż państwo nazywacie latem, a co zimą — zapytał Karol.

— Latem jest pora sucha, zimą pora dżdżysta, bo więcej pór roku nie mamy — objaśniał Wiktor, lecz przerwała mu Ada ze śmiechem.

— Nie tak, proszę panów. Lato nasze, to mnóstwo słońca, ciągły upał i kurzawa, a zima, to „rosa peruwiańska" całymi tygodniami. Tylko nie myślcie, że to coś przyjemnego, choć brzmi tak ponętnie. To po prostu mgła, która bardzo rzadko zmienia się w drobniuchny deszczyk. Nie w deszcz, tak u was powszedni, któryby nam nad głowami płaskie dachy rozmoczył.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Wakacje

Wakacje się zaczęły
i szybko upłyną.
Pośpieszmy się z zabawą,
nim wolne dni miną.
Użyjmy więc swobody,
jest do niej ochota.
Rychło trapić nas zacznie
za szkołą tęsknota.